

## ALICJA DRYGLEWSKA-ROMANISZYN

ur. 1951; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, dzielnica Konstantynów, ulica Romanowskiego, dzieciństwo, rodzina, praca szewca, zakład szewski przy ulicy Głowackiego, życie codzienne, zabawy dziecięce, cegielnia na Zimych Dołach, projekt Lubelskie cegielnie. Materia miasta

### Dzieciństwo

Mama moja urodziła się pod Lublinem. To jest Żabia Wola, Pszczela Wola, niedaleko za Dąbrową, czyli blisko Lublina w tej chwili. Tylko że wtedy to było daleko, bo nie było drogi, nie było dojazdu. Natomiast ojciec mój pochodzi z Kresów. Urodził się na terenie obecnej Białorusi. W czasie wojny został schwytany w łapance w Nieświeżu i wywieziony na roboty do Niemiec. Tam przebywał do zakończenia wojny. Pracował w fabryce pod Berlinem, a następnie ubauerki. To były okolice Głogowa, w tym czasie teren III Rzeszy. Tam zapoznał kolegów, z którymi po wojnie dotarł do Lublina i tu pozostał.

Mama nigdy nie pracowała zawodowo, zawsze zajmowała się domem. Ojciec pracował w filharmonii jako pracownik fizyczny: był woźnym, rozkładał partytury. Jak były wyjazdy na koncerty, to ojciec również wyjeżdżał. Z tym że była bardzo niska płaca, a rodzina duża, także szukał lepszego sposobu na życie. Ojciec był bardzo pracowity. Poza tym nie lubił marnować pieniędzy. Bardzo cenił każdą zarobioną złotówkę. Był abstynentem, całkowicie! Nie pił alkoholu, nie palił papierosów. Jedynym napojem, który uwielbiał, to było mleko i to przez całe życie, odkąd pamiętam. W związku z tym, że chciał pracować, zajął się szewstwem. Zdał egzamin w Cechu Rzemiosł Różnych, z tym że zajmował się naprawą obuwia, nigdy nie robił nowego. Początkowo, to chyba nawet zaczął naprawiać w domu, jeszcze w tym wynajętym. Natomiast w naszym domu, to na pewno nie robił, tylko przynosili ludzie do naprawy. Ojciec zakład swój miał na ulicy Głowackiego 2, tam wynajmował. W podwórku było studium wojskowe. A tu się wchodziło od ulicy Głowackiego i pod schodami wolną przestrzeń ojciec zagospodarował na swój zakład. Warunki tam były tragiczne, bo to nieogrzewane, zimy były ostre. W takim trójkącie dosłownie pracował. W mieszkaniu obok ludzie wzięli go, żeby u nich w jednym z pomieszczeń

przyjmował, robił. Później się zwolniło jeszcze jedno pomieszczenie, to przeszedł do zupełnie obcego. Także, pod koniec pracy już miał własny lokal. Może ze 25 lat tam pracował. Także w domu tylko przyjmował, zabierał buty do naprawy tam. Potem przywoził, a my żeśmy nawet odnosili do domów jako dzieci. A później już ludzie sami przychodzili, przynosili. Bardzo dużo miał pracy, bo był bardzo obowiązkowym człowiekiem. Nie było mowy, żeby był termin przekroczony, a poza tym to musiało być ekspresem zrobione. W związku z czym, czwarta rano tata już do pracy wychodził, a właściwie wyjeżdżał, a przyjeżdżał zawsze na obiad. Między 13-14 miał nieczynne, zjadał obiad, wracał z powrotem i siedział, aż wyrobił to wszystko, co miał do wyrobienia. Czy też naprzyjmował znowu po południu, żeby następnego dnia rano iść, żeby obuwie było gotowe do wydania.

Tata całe życie był zmotoryzowany. To był jego konik. Jeździł rowerem, jeździł motorem, miał WSK-ę, miał imperial, taki piękny motocykl, i jeździł samochodami. Mieliśmy austina zielonego, pamiętam. W austinie pamiętam, że ta deska z tyłu samochodu, która jest za siedzeniami, była drewniana. Później mieliśmy skodę, taką żółtą kaczuszkę z krzywymi kołami. I później warszawę i malucha. Ojciec był samoukiem. Kupił motor imperial i to był nowiuteńki motocykl, z Anglii sprowadzony. To chyba ktoś sprowadził i odsprzedał po prostu w częściach. Żuk podjechał i przywiózł, całe podwórze było założone różnymi śrubkami, kawałkami metalu. Ojciec nad tym siedział, aż zrobił. Miał kolegów, którzy przychodzili, pomagali mu przy tym, ale moja mama jak to zobaczyła, to była załamana. Bo zawsze w domu było mnóstwo potrzeb, a tutaj takie rzeczy. Później składał malucha jeszcze, też ze znajomym. I jeździł tym maluchem prawie do samej śmierci, później przestał jeździć, bo niestety ciężko chorował.

Ojciec mój był bardzo towarzyski, bardzo lubiany przez ludzi, kontaktowy. Nawet można się dziwić, bo z reguły człowiek się robi towarzyski, kontaktowy, jak sobie coś wypije, a mojemu ojcu to było w ogóle niepotrzebne. On lubił pożartować, zawsze coś miłego powiedział. Był bardzo pozytywnie do ludzi nastawiony, chociaż sam miał trudne życie.

Mama zajmowała się domem. Nas było cztery, było co robić. Przygotować do szkoły, uczesać, bo ja miałam warkocze, siostra starsza też miała warkocze. I też jak to w domu pełnym ludzi - uprać to wszystko, u nas się wodę nosiło. Jak się w 1958 roku przeprowadziliśmy, to nosiliśmy wodę od gospodarza, od którego kupiliśmy działkę. Jego działka dochodziła do samej alei Kraśnickiej, a nasza była dopiero po nim. I tam była studnia i generalnie mama chodziła, czasami ojciec, ale głównie mama, bo mama była w domu. Studnia była na korbę. Wyciągało się wiadro wody i przelewało się do własnych wiader. I na takich nosidłach na ramiona niosło się to do domu. Oczywiście, gospodarzowi rodzice płacili za wodę, nie było to za darmo. A później,

początek lat 70., w pobliżu nas – ale też nie na naszej ulicy, też trzeba było nosić – powstała studzienka kanalizacyjna. I stamtąd wodę żeśmy brali, ale kanalizacji ciągle nie było. Dopiero sporo lat później została przeprowadzona kanalizacja, gaz podłączony. Także warunki życia zdecydowanie się zmieniły, cała infrastruktura jest zupełnie inna. To sobie nawet trudno wyobrazić dzisiaj, że w domu nie ma ciepłej wody. Mało, że ciepłej – żadnej nie było, trzeba było przynieść! Ale do dobrego się łatwo przyzwyczaić.

Było wśród tych gospodarstw, gdzie mieszkaliśmy, trochę młodzieży. Gospodarstw było mało, ale młodzieży trochę było, bo to nie były rodziny z jednym dzieckiem, głównie była większa ilość dzieci w rodzinach. Nie było zabawek jeszcze. Pamiętam, że jakąś lalkę szmacianą się miało, piłka, skakanka, to była już zabawka, z której się człowiek cieszył. Graliśmy w dwa ognie, w zbijaka, to na ulicy się grało, bo przecież tam czasami jakaś furmanka z koniem przejechała, a tak to było pusto. W pobliżu znajdowały się Zimne Doły, gdzie oczywiście nasze wędrówki się odbywały. Tam były zabawy w chowanego, w podchody, były takie jamy. Zarośla takie były, krzewy różne, głóg, dziki bez, berberys i ziół mnóstwo, taki zawsze był swoisty zapach latem tych ziół – macierzanka... Na końcu była cegielnia, która jeszcze wtedy działała.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2018-06-12, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"